



O zmęczeniu materiału

Fahrenheit Crew



Paweł Kornew

Czarne południe

Tłum.: Marcel Głazowski

Wydawca: Fabryka Słów 2012

Stron: 447

Cena: 37,90 zł

Jak doskonale wie o tym każdy inżynier, każdy materiał poddawany długotrwałym naprężeniom zacznie w końcu pękać. Doskonale wiedział o tym Paweł Kornew, autor cyklu traktującego o przygodach Sopla w świecie Przygranicza. Dlatego też przygody wyżej wymienionego zakończył na tomie siódmym, czyli „Czarnym południu”. Mocno obawiam się, że więcej naprężenia ten materiał już by nie zdzierzył.

Cykl o Soplu jest cyklem specyficznym. Dużo w nim akcji, treści jakby nieco mniej, ale całość jest napisana na tyle sprawnie, że przygody Śliskiego pochłania się jednym tchem. „Czarne południe” wnosi do cyklu kilka nowych pomysłów. Niektóre bardzo mi odpowiadają, niektóre – wcale, ale ważne jest, że dzięki swoistemu „wzbogaceniu” bohatera całość, mimo bitych siedmiu tomów o jednym i tym samym, nie stała się nużąca.

Sopel znany jest jako ekspert od rozwiązań siłowych – w „Czarnym południu” udowodnił, że potrafi używać także mózgu. I to mi się podoba – bo mięśniak, choćby i najsilniejszy, może łatwo zostać pokonany, jeśli nie uruchomi swoich szarych komórek. Z kolei im bliżej finału, tym więcej w świecie Przygranicza czarów i magii, dobrych na każdą okoliczność i w każdej sytuacji – to z kolei bardzo mi przeszkadzało. Na marginesie – przez cały cykl dręczyła mnie pewna wątpliwość, powiedzmy, gastronomiczno-matematyczna. Do Przygranicza zostało przeniesione spore miasto i kilka (kilkanaście?) przysiółków, wiosek czy też chutorów, w sumie dwieście-trzysta tysięcy ludzi. Specyficzne warunki pogodowe sprawiają, że przez dziewięć-dziesięć miesięcy w roku ziemię

pokrywa śnieg, a temperatura spada poniżej zera. Może to wynik mojej hiperdociekliwości, a może zwykłego czepialstwa, ale podczas lektury złośliwy duszek mieszkający w mojej głowie co i rusz dopytywał się, skąd oni wszyscy biorą jedzenie... Ekstremalnie drogie dobra luksusowe, exemplum odgrywające pewną rolę w zdemaskowaniu Sopla mandarynki, sprowadzają przemytnicy i doskonale na tym zarabiają. OK. Ale skąd te setki tysięcy ludzi biorą dobra podstawowe – ziemniaki, warzywa, mąkę na chleb? Paszę dla zwierząt hodowlanych? Tak, wiem, to są detale nieistotne wobec walki o władzę, polityki i wszechobecnej magii, ale jednak...

Dość niewygodnych pytań, przejdźmy do pozytywów. Za niewątpliwy pozytyw muszę uznać to, że Sopol oparł się starej jak świat pokusie władzy. A wystarczyło sięgnąć. Jak każdy zbyt intensywnie żyjący człowiek, przekroczył on chyba próg zmęczenia, osiągnął stan, w którym, cokolwiek naokoło by się działo i jakiejkolwiek możliwości byłyby w zasięgu ręki, pragnie się już tylko odpoczynku i świętego spokoju. I on sam został poddany naprężeniom, po którym hart ducha, siła przebiccia i wola działania rozsypały się na drobne kawałeczki.

Jako się rzekło, cykl o Soplu przeznaczony jest dla specyficznego odbiorcy, lubiącego książki z wartką akcją, magią na usługach człowieka i technologiczno-taumaturgicznymi gadżetami. Nie nurkuje zbyt głęboko w otchłanie ludzkiego ducha – i wcale nie musi. Nie udaje książki z intelektualnymi pretensjami – i chwała mu za to. Jest tym, czym jest: nieabsorbującą rozrywką na samotnie spędzony wieczór, ale rozrywką w naprawdę zadowalającym gatunku.

Hanna Fronczak